

„Ze wspomnień” Józefa Daszczyńskiego, pseudonim „Mewa”, kapitana w stanie spoczynku

Nazywam się Józef Daszczyński, urodziłem się 15 października 1931 roku w Myszkach, powiat Postawy, województwo wileńskie.

W czasie II Wojny Światowej przeżyłem okupację sowiecką, następnie niemiecką i ponownie sowiecką. Przez „partyzantkę” sowiecką w roku 1944 zmarła moja mama Bronisława Daszczyńska. Partyzantka sowiecka na naszym terenie nie walczyła z Niemcami. Jej największym wyczynem było ścięcie kilku słupów telegraficznych. Zajmowali się tylko „bambiożką” tzn. nocnymi nalotami i rabunkiem miejscowej ludności – szczególnie polskiej. Rabowali wszystko: żywność, pieniądze, odzież, bydło, konie, trzodę chlewną, dosłownie wszystko, co przedstawiało jakąś wartość.

I tak pewnej nocy roku 1944 grupa sowieckiej partyzantki wtargnęła do naszego domu i obejścia. Zrabowali wszystko co, było im przydatne w tym zabrali parę koni. Po upływie około godziny wtargnęła następna grupa – najpewniej z tego samego „atrada” (oddziału) i od nowa przetrząsała dom i obejście. Czternastoletniej siostrze Annie zabrali ostatnią sukienkę. Siostra jednak tę sukienkę wyrwała z rąk napastnika i uciekła na zewnątrz. Partyzant ten wystrzelił do siostry z karabinu, jednak trafił w róg pieca, a ona szczęśliwie schroniła się w stodole i wróciła po całej akcji. Od mojego ojca żądali wydania koni, a kiedy im oświadczył, że konie zabrali ich towarzysze wyprowadzili ojca w białiznie na podwórko oznajmiając, że go rozstrzelają.

Strzelali wielokrotnie, ale na szczęście tylko do świń, które zabrali. Mama moja była wówczas chora na grypę. „Partyzanci” kazali jej wstać z łóżka. Przetrzęsając łóżko znaleźli pod poduszką niewielką sumę pieniędzy. Wówczas wypędzili mamę w białiznie na podwórko, na śnieg, a był to miesiąc luty i mróz około 15 stopni....To przejście spowodowało zapalenie płuc i rychły zgon mojej mamy. Miała wówczas 35 lat i zostawiła czwórkę dzieci.

Część mojej rodziny w roku 1940 deportowano na Sybir w pierwszej wywózce. Brat mój cioteczny Stanisław Raginia pozostał na zawsze w ziemi syberyjskiej.



Ojciec mój Paweł Daszczyński walczył w I Wojnie Światowej na terenie Rosji jako poborowy do Armii Rosyjskiej. Na ochotnika zgłosił się do 1 Polskiego Korpusu Posiłkowego generała Józefa Dowbor-Muśnickiego w okolicach Bobrujska. Ojciec zagrożony deportacją na Sybir w marcu 1946 roku po uprzednim uzgodnieniu z nami swoimi dziećmi (miałem dwie młodsze siostry Felicję i Jadwigę oraz starszą o rok Annę) zdecydował się na repatriację, a właściwie przesiedlenie na tzw. „Ziemie Odzyskane”. Jechaliśmy z Wileńszczyzny zaanektowanej przez Sowieców do Polski. Podróż w nieznane rozpoczęliśmy ze stacji kolejowej Woropajewo w powiecie postawskim. Jechaliśmy w wagonach towarowych po dwie rodziny w jednym wagonie razem ze skromnym bagażem, jaki można było zabrać.

Razem z nami w wagonie jechała sześciuosobowa rodzina Świerkowiczów. Całą podróż odbyli razem z nami, najpierw z Godkowa nad Odrą, a potem do Trygortu. Pozostawiając Sowiecom nieodpłatnie swoje gospodarstwo rolne, zabraliśmy ze sobą trochę inwentarza żywego (pozostałości po rabunkach Sowieców i Niemców). Inwentarz nasz i Świerkowiczów załadowany był do osobnego wagonu na końcu długiego transportu (ponad dwadzieścia wagonów). Nasz tata w czasie jazdy przebywał przeważnie w wagonie przy inwentarzu. W czasie przejazdu kolejarze sowieccy co najmniej dwukrotnie wymusili od nas łapówki, strasząc odczepieniem rzekomo uszkodzonego wagonu. Było to w Lidzie i Wołkowysku.

W wagonach z szerokim rozstawem kół dojechaliśmy do nowej granicy Polski, na stację graniczną Andrzejewo (linia Hajnówka - Czeremcha – Siedlce). Tutaj wyładowaliśmy się na rampę i koczowaliśmy przez trzy doby. Był to koniec marca 1946 roku. Tutaj spędziliśmy nieszczęśliwe Święta Wielkanocne. Stacjonował tam sowiecki batalion wojsk trofiejnych (zajmujących się łupami wojennymi). Żołnierze z tego batalionu rozbierali tory kolejowe po polskiej stronie granicy, zabierali maszyny i urządzenia z fabryki i przewozili je na stronę sowiecką. W okolicy stacji kolejowej, na której koczowaliśmy, jak można było okiem sięgnąć ciągnęły się pola zawałone szynami kolejowymi. Rankiem w dzień Wielkanocy żołnierze tego batalionu trofiejnego dokonali napaści na nasz transport. Zrabowano nam klacz, która była przeznaczona na sprzedaż celem dobytecia środków w nowym miejscu osiedlenia, sąsiadowi (staroście naszego transportu) zrabowali krowę. Człowiek ten był obecny przy rabunku, bronił swojego dobytku i został zamordowany.

Na nasze szczęście tata zostawił inwentarz żywy i przyszedł do nas na śniadanie, ocalając w ten sposób życie. Zaraz po napadzie udałem się z moim tatą ze skargą do dowódcy tego batalionu. Zabrał się też z nami członek rodziny zamordowanego. Dowódca batalionu major oświadczył nam, że wie co zrobili jego żołnierze i że zostaną ukarani. Jednak szkody naprawić nie może, bo zrabowany dobytek został sprzedany okolicznym mieszkańcom. Zapewniał również, że będą poszukiwać zrabowanych rzeczy i zwierząt. Dowódca w ogóle nie wyraził ubolewania z powodu morderstwa człowieka. Na naszą uwagę, że jutro przekraczamy granicę, oświadczył z szyderczym uśmiechem: „Wy sobie wyjeżdżajcie do tej swojej Polski, a my będziemy iskać (szukać)”. I tak następnego dnia po załadowaniu do polskich wagonów wyruszyliśmy na zachód nad Odrę do Godkowa w pobliżu Chojny. Tam ojciec przez swojego znajomego Eugeniusza Łastowskiego (dawny mieszkaniec Myszek, komisarz ziemski urzędujący przy obecnej ulicy 3 Maja w Węgorzewie) załatwił przeniesienie na przedmieścia Węgorzewa do Kolonii Trygort. W Węgorzewie uczęszczałem do Szkoły Podstawowej nr 1, a potem do Średniej Szkoły Zawodowej o profilu administracyjnym. Po pracy od godz. 16.00 rozpoczynaliśmy lekcje w szkole zawodowej, które trwały do 22.00.

Z domu wyniosłem wychowanie patriotyczne i umiłowanie Ojczyzny. Brat mój cioteczny Paweł Myszek jako żołnierz Wojska Polskiego poległ w obronie Warszawy we wrześniu 1939 roku. Jego brat rodzony Piotr, również żołnierz Wojska Polskiego, poległ podczas zdobywania Wału Pomorskiego w 1945 roku. Wujek mój Józef Łowkis w roku 1940 został wcielony przez Sowieców do „Strojbatu” (batalion budowlany), który budował lotnisko wojskowe w Zelwie koło Wołkowyska. Za to, że w liście do rodziców nieodpowiednio wyraził się o Sowieciech trafił do łagru i tam zginął. Również jeszcze jeden brat cioteczny siedmioletni Stanisław Raginia deportowany na Sybir, odebrany ojcu Andrzejowi Raginia (był pólsierotą) zmarł w sierocińcu, a wujek trafił do łagru, a wcześniej za stawianie oporu do więzienia. Pozostałe dzieci były z wujem i musiały pracować w tajdze przy wyрубie lasu. Były to: Franciszka 14 lat, Janina 13 lat, Jadwiga 12 lat, Maria 8 lat.

W miarę narastania zniewolenia Polski po II Wojnie Światowej ze strony sowieckiego zaborcy i rodzimych kolaborantów rodził się we mnie bunt. Szukałem więc kolegów o podobnych poglądach politycznych. Wiosną 1949 roku jako uczniowie Średniej Szkoły Zawodowej o profilu administracyjnym w Węgorzewie **założyliśmy Organizację Niepodległościową pod nazwą „Sokół”**. Terenem działania „Sokoła” był powiat węgorzewski. Głównym inspiratorem i organizatorem był najstarszy wiekiem

Edward Purkiewicz. Ja byłem współorganizatorem. Pomagali mi w tym czynnie: Antoni Dźwinel (kolega ze Straży Pożarnej), Jan Mokrzecki (kolega ze szkoły), Lucjan Sawicki (kolega ze szkoły i sąsiad), Zbigniew Śmietanka (kolega ze szkoły).

Organizacja „Sokół” liczyła na początku szesnastu członków, czynnych i zaprzysiężonych. Dowódcą „Sokoła” został wybrany Edward Purkiewicz ps. „Błyskawica”. Jego zastępcą był Antoni Dźwinel ps. „Jastrząb”, ja miałem ps. „Mewa”. Celem organizacji „Sokół” była walka z ustrojem komunistycznym o niepodległość Polski. Działalność nasza polegała na prowadzeniu walki ideologicznej, przygotowaniu i wykorzystaniu materiałów propagandowych (nasłuchiwanie Radia Wolna Europy, rozgłośni BBC z Londynu, radia Madryt, o ile pamiętam chyba było radio Nowy York) oraz gromadzeniu broni i szkoleniu w zakresie wojskowości.

Na wypadek konfliktu międzynarodowego przygotowywaliśmy kadry do walki partyzanckiej oraz głębiej zakonspirowane rezerwy. Oprócz zasadniczej szesnastoosobowej grupy „Sokoła” ja zorganizowałem podgrupę o kryptonimie „Placówka” liczącą siedem osób. Organizacja „Placówki” opierała się na systemie trójkowym. Ja byłem dowódcą „Placówki” i tu używałem pseudonimu „Vis”. Szefami trójek byli: Władysław Kondzielewski ps. „Konrad” i Czesław Sawicki ps. „Czech” (brat Lucjana).

Podgrupa „Placówka” kontaktowała się tylko z dowódcą „Sokoła” czyli Edwardem Purkiewiczem. W lipcu 1952 roku w skutek fatalnego przypadku nastąpiła wyspa. Urząd Bezpieczeństwa aresztował jedenastu członków „Sokoła” oraz jednego z „Placówki”. Po trzech miesiącach śledztwa członka „Placówki” Stanisława Szewczaka ps. „Słowik” zwolniono. Był to rezultat głębszej trójkowej konspiracji, a więc większej możliwości obrony. Potem zwolnione jego miejsce w celi nr 20 (areszt w UB w Olsztynie) przypadło mnie (ale o tym później). W roku 1950 dwóch członków „Sokoła” (Edward Purkiewicz i Kazimierz Butkiewicz) otrzymało powołanie do wojska. W związku z tym rozważano różne możliwości wymarszu do lasu z bronią. Po głębszym rozważaniu sytuacji zdecydowano zamrozić działalność „Sokoła” i zdobywać doświadczenie wojskowe także przez odbywanie służby wojskowej. Na wieść o aresztowaniach członków „Sokoła” Innocenty Waszkiewicz popełnił samobójstwo (powiesił się), gdyż wiedział, czego może spodziewać się po aresztowaniu.

Miał 19 lat, mieszkał w Małym Trygocie, za zakrętem po lewej stronie, wcześniej mieszkał tam też Dubako. Waszkiewicz spoczywa na cmentarzu komunalnym w Węgorzewie.

Natomiast na okoliczność ewentualnej wpadki (wsypy) termin zamrożenia zakamuflowaliśmy terminem rozwiązania organizacji. Mnie natomiast powołano na turnus wakacyjny (dwa miesiące) w Brygadzie Służba Polsce. Tam pracowałem przy odwadnianiu Żuław (obecnie Kleszczewko koło Gdańska) i odbywałem szkolenie wojskowe. Chyba skutecznie gdyż zdobyłem złoty medal w strzelaniu z KBK i pierwsze miejsce w Brygadzie (ok. 1000 osób Brygada Służby Polsce).



*Przed pomnikiem Marszałka Piłsudskiego. Częstochowa, 2004 r.
Od prawej: Józef Daszczyński, Władysław Piotrowski, Edward Purkiewicz.
Fot. Archiwum własne J. Daszczyński*

Po skończeniu szkoły średniej, we wrześniu 1951 roku wstąpiłem do Oficerskiej Szkoły Piechoty nr 2 w Jeleniej Górze. Tam po egzaminach w stopniu starszego strzelca podchorążego pełniłem funkcję dowódcy pierwszej drużyny szkolnej. Następnie po egzaminach rocznych awansowałem do stopnia kaprala podchorążego i pomocnika dowódcy plutonu, tam też dopadła mnie Informacja Wojskowa i 9 września 1952 roku zostałem aresztowany. Następnego dnia przetransportowano mnie do Okręgowego Aresztu Informacji Wojskowej we Wrocławiu. W areszcie tym panował niesamowity

reżim. Obsługa aresztu (podoficerowie „Służby Informacyjnej”) często w sadystyczny sposób znęcali się nad aresztowanymi żołnierzami i nad oficerami. Tu przechodziłem śledztwo. Ale pozwolę sobie na małą dygresję. Otóż pod koniec sierpnia 1952 roku odwiedziła mnie w Jeleniej Górze siostra i poinformowała, że w lipcu aresztowano moich kolegów z „Sokoła”. Od niej dowiedziałem się kogo konkretnie aresztowano i to, że zostali przewiezieni z Węgorzewa do Olsztyna. Posiadając taką wiedzę, wiedziałem, że i mnie to grozi. Zauważyłem wówczas, że jestem pilnie śledzony. Oznaczało to, że kontrwywiad deptał mi po piętach. Aresztowanie nie było więc niespodzianką. Moim oficerem śledczym był kapitan, szatyn średniego wzrostu, mówił z akcentem rosyjskim. Nazwiska tego kapitana nie znam. Śledztwo trwało około trzech miesięcy.

Początkowo przebiegało dość spokojnie. Ułatwiło mi sprawę to, iż wiedziałem kto jest aresztowany. Należało więc chronić przede wszystkim tych, którzy pozostali jeszcze na wolności. Śledczy dysponowali materiałami nadesłanymi z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Olsztynie. Były to zeznania moich aresztowanych kolegów z „Sokoła”. Kapitan często konfrontował moje zeznania z tymi właśnie zeznaniami. Muszę tu nadmienić, że koledzy nie obciążali mnie mocno (np. kolega Jan Mokrzecki przyznawał się do mojego karabinu, próbując mnie odciążyć...). Natomiast z wiedzy zdobytej później i na rozprawie sądowej wywnioskowałem, iż zachowali się godnie. Wielokrotnie próbowali bronić kolegów nie oszczędzając siebie. W końcowej fazie śledztwa pojawiły się jednak trudności. Wynikały z tego, iż nie chciałem zgodzić się na stwierdzenie, że organizacja „Sokół” była czynna do czasu aresztowania jej członków. Twierdziłem, że została rozwiązana w 1950 roku. Wierzyłem że wszyscy aresztowani będą opierać się na naszym wcześniejszym uzgodnieniu na wypadek klęski. Tego mój kapitan nie chciał uznać. Zarzucał mi też działalność antypaństwową i szpiegowską w Oficerskiej Szkole Piechoty Nr 2 w Jeleniej Górze. Dowodem tego miała być „Instrukcja taktyki walki piechoty”, którą przekazałem Danielowi Sławińskiemu z „Sokoła” ps. „Skowronek”, zamieszkałemu w Węgorzewie. Ten zarzut był groźny. Do przekazania instrukcji nie przyznawałem się i żądałem konfrontacji ze Sławińskim. Wiedziałem, że Sławiński jest w Olsztynie, a nie we Wrocławiu. Kapitan twierdził, że na instrukcji stwierdzono moje odciski palców. To mnie utwierdziło w przekonaniu, że Danek mnie nie obciąża, a kapitan blefuje, a to dlatego, że od przekazania instrukcji upłynęło ponad pół roku. Wiedziałem też, że w tym czasie była ona wykorzystywana, więc odciski moje nie mogły się zachować.

Pokój przesłuchań był długi i wąski około 5 metrów na 3 metry. W czasie przesłuchań sadzano mnie na drewnianym stołku oddalonym od biurka śledczego około 1,5 metra. Do pokoju wejścia prowadziły z obydwu bocznych ścian. Stołek, na którym mnie sadzano był przymocowany do podłogi. Podczas przesłuchań czasami pomagali kapitanowi inni oficerowie. Pod koniec śledztwa, kiedy nie godziłem się na podpisanie protokołu stwierdzającego, że prowadziłem działalność szpiegowską, kapitan wstał z biurka, zaszedł mnie od tyłu i ze słowami „ty swołocz” zaczął mnie okładać pięściami po głowie i szyi. Wówczas odruchowo złapałem go za rękę i przytrzymałem. Po chwili wypuściłem jego rękę. Mój prześladowca wrócił do biurka i nacisnął przycisk alarmowy. Na ten sygnał wpadło kilku podoficerów i zaczęli mnie bić i kopać, kiedy spadłem ze stołka. W wyniku tego pobicia złamano mi nos i trzy żebra po prawej stronie, uszkodzono łokieć prawej ręki (później wymagało to operacyjnego usunięcia kaletki łokciowej) oraz nastąpiło pęknięcie prawego łuku brwiowego. Potem wycofano zarzut szpiegostwa, ale pozostawiono zarzut działalności do czasu aresztowania. Zarzut ten uzasadniano tym że, nie ujawniłem wcześniej przynależności do „Sokoła”. Śledztwo zakończono na początku listopada.

Nadal pozostawałem w areszcie Wrocławskiej Informacji Wojskowej. Trwało to do połowy listopada z powodu urazów ciała po pobiciu. W tym czasie w celi ze mną przebywał kapral Jan Palonka z Zamościa. Aresztowano go za dezercję z bronią. Zarzucano mu łączność z organizacją kontrrewolucyjną. Był też bity w czasie przesłuchania. Później dołączył do nas porucznik Sosiński za jakąś wypowiedź antyradziecką. Podoficerowie Informacji Wojskowej traktowali również jego jak szeregowca. Na święto Rewolucji Październikowej podano nam na obiad śledzie solone i chleb. Zaproponowano dokładkę bez chleba - ikrę i mlecz, o którą poprosiłem. Męczyło mnie potem ogromne pragnienie, gdyż nie dostaliśmy już nic do picia. Długo cierpiałem na problemy żołądkowe.

W listopadzie przetransportowano mnie do Olsztyna. Z aresztu Informacji Wojskowej we Wrocławiu przewieziono mnie na dworzec kolejowy samochodem wojskowym. Konwojowali mnie podporucznik Informacji Wojskowej z dwoma podoficerami i konwojentami, dwoma milicjantami i jednym funkcjonariuszem UB. Kiedy odjechał konwój wojskowy milicjanci próbowali założyć mi kajdanki. Ja wówczas wyszarpałem ręce i oświadczyłem, że regulamin wojskowy tego nie przewiduje i nie pozwolę na założenie kajdanek, i że będę walczył. Oświadczyłem też,

że jeżeli odstąpią od tego zamiaru, to nie będą mieli ze mną kłopotu. Po krótkiej szarpaninie i przepychance zrezygnowali wówczas z zamiaru zakucia mnie w kajdanki.

Wkrótce pojawiła się nowa przygoda. Podczas oczekiwania na dworcu kolejowym na pociąg z Wrocławia do Olsztyna przebywało tam dużo żołnierzy z różnych rodzajów broni. W owym czasie istniała silna solidarność między żołnierzami i niechęć do milicji. Żołnierze podróżni widząc mnie w letnim mundurze drelichowym bez płaszcza (z munduru sukiennego przebrano mnie w drelichowy po aresztowaniu), a był to listopad i było zimno, zebrali się tłumnie wokół mnie. Odepchnęli moich konwojentów i próbowali wyprowadzić mnie do miasta. Wytworzyła się przepychanka wojskowych z konwojentami i sytuacja stawała się coraz bardziej groźna. Wówczas poprosiłem żołnierzy, by zaniechali próby uwolnienia mnie, gdyż wiedziałem, że to się nie uda, a oni poniosą odpowiedzialność karną. Złudnie tłumaczyłem im, że wiozę mnie na rozprawę do sądu, z której mam nadzieję wyjść wolno. Oczywiście kłamałem, ale było warto by ochronić niewinnych obrońców. Moi konwojenci w czasie podróży z Wrocławia do Olsztyna byli względnie grzeczni, dopiero na miejscu w Olsztynie w gmachu Komendy Miejskiej przy ulicy Partyzantów bez żadnego powodu porachowali mi zebra i bili po brzuchu. Zamknęli mnie w celi bez jedzenia. Następnego dnia już inni konwojenci przewieźli mnie do aresztu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa przy ulicy Dąbrowszczaków – obecnie Sąd Wojewódzki. Tam więźniów politycznych traktowano jak bandytów i tak nas nazywano. Prześladowano za modlitwę.

Na przykład sześćdziesięcioletniego człowieka pana Radulskiego z zawodu maszynistę kolejowego za wykonanie krzyżyka z chleba - wsadzono w grudniu do zimnego karca (nie ogrzewana cela) na jedną dobę w samej bieliźnie. Zwrócono go do nas do celi nr 20 nieprzytomnego z wyziębienia. Wspólnie z drugim współwięźniem z trudem ogrzaliśmy i doprowadziliśmy do przytomności naszego towarzysza niedoli. Panował potworny głód. Rano otrzymywaliśmy 250 gr czarnego chleba na cały dzień i kubek gorzkiej kawy zbożowej. Na obiad była miska rzadkiej zupy z brukwi i wieczorem miska zupy z brukwi i tak przez cały tydzień. Następny tydzień zmieniała się „zupa” na buraczaną, też rzadką. I następny tydzień zupa kapuściana rzadka bez kropli tłuszczu i tak od nowa wracano do brukwianki (marzyłem we śnie o kawałku chleba).

Tutaj w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Olsztynie uzupełniano śledztwo. Oficerem śledczym prowadzącym moją sprawę był podporucznik

Edward Zając. Czasami pomagali mu inni oficerowie. Śledztwo prowadzono często nocami, świecąc reflektorem prosto w oczy. Nieraz zwalniano do celi i potem ponownie prowadzono na przesłuchanie powtarzając tak wielokrotnie w ciągu doby, nie pozwalając na odpoczynek. Nęcano wielokrotnym powtarzaniem życiorysu i powtarzaniem tych samych zeznań. Mimo to śledztwo było tu mniej drastyczne w porównaniu z tym z Informacji Wojskowej.

Pewnego razu zdarzył się jednak zabawny incydent. A było to tak. W celi ze mną siedział niejaki pan Olkowski były pierwszy sekretarz Komitetu Partii w Olsztynie. Był on członkiem „Klubu Gwardii” w Olsztynie i dobrym znajomym szefa Wydziału Śledczego WUBP oraz innych ubowców (trafił do aresztu z oskarżenia sekretarki Przedsiębiorstwa Budowlanego w Ostródzie, gdzie pracował jako kierownik działu zaopatrzenia). Oskarżyła go i dyrektora pana Pruchniaka o zbezczeszczenie portretu Stalina, co było pomówieniem, gdyż została przyłapana na nierządzie w gabinecie dyrektora. Jego brano do specjalnej celi – była to taka „rupieciarnia” pod schodami. Tam Olkowski reperował klubowe motocykle.

Pewnego razu, na prośbę Olkowskiego do pomocy jemu posłano też mnie. W tej rupieciarni między innymi znaleźliśmy kilka naboju do „Mausera”. Naboje te wykorzystywaliśmy do wybijania szprych z kół motocykli. Podczas pracy konwojent-ubowiec wezwał mnie na przesłuchanie i jakoś odruchowo w tym czasie trzymany w ręce nabój włożyłem do kieszeni. Dopiero w czasie marszu na przesłuchanie uświadomiłem sobie, że posiadam ten nabój w kieszeni. Podczas przesłuchania miało miejsce okazanie broni. Śledczy położył na stół karabin typu „Mauser” i zapytał, czy to jest mój karabin. Odpowiedziałem – tak, kiedyś był w moim posiadaniu. Wówczas on podał mi karabin do ręki i kazał dokładnie obejrzeć. Następnie żartując dodał jak chcecie to możecie sobie postrzelać. Tak żartobliwa sytuacja ośmieliła mnie do jej kontynuowania. Odpowiedziałem, że chociaż oni nie pozwolili mi zostać oficerem, to ja i tak zdążyłem zgłębić wojskową maksymę, która głosi iż raz do roku karabin strzela nawet pusty. Potem oddałem karabin śledczemu, zrobiłem dwa kroki do tyłu, wyjąłem z kieszeni nabój i pokazałem. Na to mój porucznik jakby osłupiał. Po chwili nacisnął przycisk alarmowy. Na ten sygnał wpadli ubowcy z sąsiednich pomieszczeń i zaczęli mi wykręcać ręce, równocześnie rewidując kieszenie, nogawki i cały mój mundur. Jakiś ubowiec raz mnie uderzył w twarz. W kieszeniach nic więcej nie miałem. Po wyjaśnieniu sprawy i sprawdzeniu „rupieciarni” przesłuchano Olkowskiego. Sprawę zakończono, jednak mnie więcej do pomocy Olkowskiemu nie dawano.



Odświeżenie tablicy pamiątkowej w kościele pw. Św. Ap. Piotra i Pawła w Węgorzewie

„W Hołdzie Żołnierzom Polskim, którzy od pierwszego do ostatniego dnia II Wojny Światowej walczyli i ginęli za niepodległą Polskę w imię Boga, Honoru, Ojczyzny w 66 rocznicę zakończenia II Wojny Światowej- kombatanci, żołnierze, społeczeństwo miasta i powiatu węgorzewskiego 15 sierpnia 2011 r.”

Józef Daszczyński , Piotr Mażul

Fot. Ze zbiorów historycznych Muzeum Kultury Ludowej w Węgorzewie 13/4-19/2020

W grudniu zapoznano mnie z aktem oskarżenia. Zaraz potem wezwano do pokoju naczelnika wydziału Śledczego kapitana Celestyna Nawrockiego. Był tam też jego zastępca porucznik Kozubski. Nawrocki z wyglądu około 35 lat, średniego wzrostu, szatyn, Kozubski nieco młodszy, wysoki blondyn, włosy kędzierzawe. Obydwaj byli w mundurach wojskowych. Namawiali mnie do współpracy, mamili obietnicami mniejszego wyroku. Odpowiedziałem, że wyrok zależy od sądu, tym ich rozśmieszyłem. Nawrocki wytłumaczył mi, że wyroki to tu się ustala, a sąd je tylko komunikuje. Grozili też, że zamkną moją siostrę. Ja uparcie odpowiadałem, że nie będę kapował współtowarzyszy niedoli. Nawrocki kazał wówczas porucznikowi Kozubskiemu „nauczyć gnojca rozumu”. Ten zaszedł mnie wówczas z tyłu i dwa razy kopnął mnie butem (oficerki) pod kolana zwalając mnie na podłogę. Na okoliczność tych pobic zeznawałem przed Okręgową Komisją Badań Zbrodni Przeciw Narodowi Polskiemu w Olsztynie w latach dziewięćdziesiątych XX wieku.

Wreszcie 30 grudnia 1952 roku Wojskowy Sąd Rejonowy w Olsztynie z art. 86&2 i art. 4&1 Mały Kodeks Karny wymierzył karę po sześć lat, razem dwanaście lat więzienia. Łączna wymierzona kara to siedem lat więzienia i dwa lata pozbawienia publicznych praw honorowych i przepadek mienia w całości.

Na procesie „bronił” mnie adwokat z urzędu, mecenas, były podpułkownik i prokurator wojskowy Gąsiorowski. Twierdził on, że nie zdołamy obalić tezy,

iż organizacja „Sokół” działała do chwili aresztowania. Na szczęście nie miał racji. Tu z przykrością muszę dodać, że chociaż był obrońcą przydzielonym z urzędu, to jednak przyjął od mojego ojca honorarium. Po procesie przeniesiono mnie do więzienia w Olsztynie. Po jakimś czasie znów cofnięto mnie do aresztu UB. Tu próbowano zmontować nową sprawę i wdrożono śledztwo. Dzięki Bożej pomocy udało mi się z tego wywinąć. Znów wróciłem do więzienia Urzędu Bezpieczeństwa w Olsztynie. Potem byłem jeszcze w Barczewie i na koniec w Iławie. Przebywałem jakiś czas we wspólnej celi ze skazanym na dwukrotną karę śmierci porucznikiem Aleksandrem Popiakiem (Maczkowicz, oficer Dywizji Pancерnej Maczka). Przyjechał on po narzeczoną, którą chciał przeprowadzić na zachód. Siedział również jego niedoszły szwagier Chmielewski. Podczas pogrzebu Stalina Popiak nie podporządkował się komendzie „bacność”, przybrał pozę lekceważącą, co zostało wypatrzone przez wizjer. Po uroczystościach skatowano go, a on żartował, że ma nad nimi przewagę, bo mogą go zabić raz, a on ma dwukrotną karę śmierci. Wyrok wykonano.

Natomiast w więzieniu w Olsztynie byłem przez dłuższy czas w celi ze skazanym na karę śmierci Antonim Oboronem – zwiadowcą stacji PKP w Czerwonce (zarzucano mu szpiegostwo, również szwagrowi Puchalskiemu ze Szczecina i najbliższej rodzinie, młodsze dzieci wyrzucono z domu zaopiekowali się nimi sąsiedzi, wyroku nie wykonano, żonę i syna skazano na 7 lat więzienia, z synem spotkałem się na jeden dzień w więzieniu w Iławie). Następnie przebywałem w ciasnocie z dwoma więźniami (dwóch spało na boku, jeden mógł położyć się na plecach na podłodze celi o wymiarach 1,20 m szerokości na ok. 4 m długości). Byli to: Stefan Bobrowski z Fromborka z zarzutem przynależności do nielegalnej organizacji (żona była z pochodzenia Mazurką, nie odwiedzała go zastraszona przez UB) i Jan Kret Ukraińiec, chyba z miejscowości Chruściel (zarzucano mu przynależność do Ukraińskiej Armii Powstańczej i zabójstwo, do którego się nie przyznawał).

Z więzienia również doprowadzano na przesłuchania do Urzędu Bezpieczeństwa. Tam też Bobrowskiemu w czasie przesłuchania wybito dwa zęby, a Kretowi naderwano ucho. Wracali z przesłuchania pobici i pokrwawieni (UB w Olsztynie). Jeszcze wcześniej w areszcie UB siedziałem w celi nr 20 z Józefem Tomaszewskim – późniejszym prezesem Związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego Oddział w Olsztynie). Był to bardzo pogodny młodzieniec, Wilniuk, zginął w wypadku samochodowym w drodze do Częstochowy, pod koniec XX w. Był skazany na karę śmierci za przynależność do nielegalnej organizacji niepodległościowej.

Potem było więzienie karne w Barczewie. Tam spotkałem sporo ciekawych i wspaniałych ludzi. Między innymi podpułkownika Szopińskiego z AK, profesora Walickiego - historyka sztuki z Uniwersytetu Warszawskiego, majora Łyżwę z procesu generała Tantara, majora Bolesława Ziemiańskiego- szefa ochrony Marszałka Piłsudskiego (porwanego przez Bezpiekę z Londynu).

Co do majora Ziemiańskiego, to warto tu przywołać pewne fakty. Otóż w Barczewie w roku 1953 – major został wezwany przez naczelnika więzienia. Oznajmił Ziemiańskiemu, że będzie go leczyć. Ziemiański był tym zdziwiony i próbował mu wyperswadować, że jest zdrowy i leczenia nie potrzebuje. Jednak mimo jego woli zabierano go, co jakiś czas na zastrzyki. Po tych zastrzykach powstały silne obrzęki kończyn, a szczególnie nóg. Ziemiański był wówczas bardzo przygnębiony. Uważał, że „władza” postanowiła go wykończyć. Ten szatański eksperyment jednak szczęśliwie przeżył. To wiem z pamiętnika Mieczysława Lepeckiego.

W roku 1953 (wrzesień) przetransportowano mnie z Barczewa do Iławy. W czasie pobytu w Iławie pracowałem w więziennym Przedsiębiorstwie Obróbki Drewna – pracowałem w maszynowni. Tam miałem wypadek na strugarce. Potem po wyleczeniu ręki pracowałem na placu tarcicy, (załadunki wyładunki tarcicy i bali) i wreszcie po następnym wypadku przeniesiono mnie na polerownię mebli. Czasami udawało się wyrobić normę ponad 105 %. Wówczas liczono dzień za dwa dni i tak skracałem trochę wyrok. **W roku 1954 zastosowano wobec mnie amnestię.** Wyrok skrócono do czterech lat i osiemu miesięcy. Rok 1955 był dla mnie rokiem szczęśliwym gdyż 1 lutego wyszedłem na warunkowe zwolnienie. Rzeczywistość jednak nie była zbyt różowa. Były trudności z pracą. Byłem ciągle inwigilowany, aż do roku 1989 nie ustawały różne szykany. Odmówiono mi uzyskania paszportu. Mimo podwyższenia wykształcenia i bardzo dobrych rezultatów w pracy mogłem tylko awansować do szczebla średniego.

Po opuszczeniu więzienia pracowałem w Zakładzie Mleczarskim w Węgorzewie, Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Węgorzewie i następnie w PSS „Społem” w Węgorzewie. W tym czasie ukończyłem Technikum Ekonomii Przemysłu w Olsztynie i następnie Studium Ekonomii Handlu w Warszawie. W „Społem” pracowałem na stanowisku kierownika Działu Obrotu Towarowego. Tam osiągnąłem bardzo dobre wyniki i za to zostałem awansowany przez Władze Okręgowe na wiceprezesa do spraw handlu. Tu jednak dosięgła mnie ręka Służby Bezpieczeństwa. Wykorzystano sytuację,

że spotkałem się z Niemcem Kurtem Matnerem (wcześniej mieszkał w Węgorzewie na tej samej klatce schodowej kamienicy, gdzie ja mieszkałem), który po wyjeździe do Niemiec (NRD) odwiedził Węgorzewo. Ubowcy uwiecznili to spotkanie na fotografii i tym szantażowali wmawiając mi szpiegostwo. Żądali współpracy, a byli to szef Służby Bezpieczeństwa major Michoń, porucznik Służby Bezpieczeństwa Włodzimierz Woźniak. Grozili aresztowaniem. Odmówiłem współpracy i oświadczyłem, że kapusiem to ja nie będę, gdyż tego się brzydzę i brzydziłbym się siebie. Ubowcy wówczas oświadczyli, że mogą tego żałować, bo oni wiele mogą.

Tydzień po tym wydarzeniu zdjęto mnie ze stanowiska wiceprezesa. Przewodniczący Rady Nadzorczej PSS „Społem” pan Paradowski gorąco mnie przeproszał i tłumaczył, że to nie jest jego wina ani też Rady Nadzorczej, a wynikło to z polecenia Egzekutywy Powiatowej PZPR. Świadczy to o tym, że Służba Bezpieczeństwa miała długie łapy. W „PSS” pracowałem szesnaście lat. Po odejściu z PSS przez osiemnaście lat pracowałem w Spółdzielni Ogrodniczej na stanowisku kierownika oddziału w Węgorzewie, skąd odszedłem na emeryturę. W roku 1980 wstąpiłem do Związku „Solidarność”, a następnie założyłem struktury Związku „Solidarność” w zakładzie pracy, którym kierowałem (Spółdzielnia Ogrodnicza), za co ponosiłem konsekwencje....

Postanowieniem Sądu Wojewódzkiego w Olsztynie z dnia 24.02.1992 r. wyrok został uznany za nieważny, ponieważ więzień był skazany za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego.

Obecnie jako emeryt, kombatant, kapitan Wojska Polskiego w stanie spoczynku jestem aktywnym członkiem związku Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego Oddział Warmińsko-Mazurski w Olsztynie. Jestem przewodniczącym Komisji Rewizyjnej tego oddziału. Na emeryturze staram się prowadzić aktywny tryb życia. Często spotykam się z młodzieżą w szkołach, gdzie staram się krzewić wiedzę historyczną i wpajać miłość do Ojczyzny. Zainicjowałem uroczyste obchody Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych i nadal biorę w tym czynny udział, również współorganizuję uroczyste obchody wszystkich świąt narodowych. Staram się także pomagać starszym kombatantom i podopiecznym. Wspólnie z Piotrem Mażulem zainicjowałem, a następnie zorganizowałem przy pomocy Andrzeja Żebrowskiego wykonanie tablicy epitafium w hołdzie Żołnierzom Polskim, którzy walczyli o niepodległość Polski.

Tablicę umieszczono i poświęcono w kościele pw. Św. Apostołów Piotra i Pawła w Węgorzewie. Następnie z pomocą Eugeniusza Pieczula i Andrzeja Żebrowskiego powstała kolejna tablica epitafium w Hołdzie Żołnierzom Wyklętym. Tablica ta również znajduje się w tym kościele.



Odślonięcie tablicy pamiątkowej "W hołdzie żołnierzom Armii Krajowej walczącym z najeźdźcą niemieckim i sowieckim w czasie II Wojny Światowej, „Żołnierzom Wyklętym”- bohaterom antykomunistycznego bohaterom antykomunistycznego podziemia, którzy w latach 1944-1963 z bronią w ręku, jak i w inny sposób, przeciwstawili się sowieckiej agresji i narzuconemu siłą reżimowi komunistycznemu, którzy walczyli i umierali za wolną Polskę z dewizą Bóg, Honor, Ojczyzna. 1 marzec 2016r.”

Józef Daszczyński, Piotr Mażul

Fot. Ze zbiorów historycznych Muzeum Kultury Ludowej w Węgorzewie 13/4-21/2020

W marcu 2015 roku wystąpiłem z wnioskiem do Rady Miejskiej w Węgorzewie (po zorganizowaniu grupy inicjatywnej) o nadanie nowo zbudowanemu rondu na skrzyżowaniu ul. Zamkowej i Targowej nazwy imienia Żołnierzy Wyklętych. Inicjatywę poparto ponad 430 podpisami mieszkańców miasta. Rada Miejska wniosek przyjęła i rondo nosi nazwę Żołnierzy Wyklętych. Z grupy inicjatywnej najbardziej zaangażowani byli Eugeniusz Pieczul, Stanisław Cieśluk i Dariusz Zwierzchowski.

Dzięki Bożej pomocy założyłem rodzinę w roku 1957 i wspólnie z żoną Alicją wychowaliśmy dwóch wspaniałych synów (patriotów). Obecnie jesteśmy emerytami i posiadamy pięcioro wnucząt i dwoje prawnucząt, które dają nam dużo radości.

*Ze zbiorów historycznych Muzeum Kultury Ludowej w Węgorzewie,
teczka Józefa Daszczyńskiego 18/XIX.*

Wspomnienie o mojej mamie Krystynie Brzeskiej z domu Sznajder - powstańcu warszawskim pseudonim „Jola”

Moja mama Krystyna Brzeska urodziła się 9 grudnia 1925 roku w majątku ziemskim Paprotnia pod Łodzią. Do Powstania Warszawskiego zgłosiła się jako osiemnastolatka, nie mówiąc nic swoim rodzicom. Była łączniczką 3 Batalionu Pancernego Armii Krajowej „Golski” pod dowództwem Tadeusza Gebethnera, którego uratowała podczas wyprawy po zaopatrzenie. Niosła go rannego do punktu sanitarnego. Dopiero tam wycieńczona leżąc na łóżku zorientowała się, że sama jest ranna.

Na zdjęciu: Krystyna Brzeska „Jola”, Fot. Z Archiwum Magdaleny Brzeskiej



Przyszła do niej kobieta z dowództwa mówiąc: ”Jola zostałeś podana do odznaczenia” i wręczyła mamie symboliczną bibułę. Szli do walki szczęśliwi i pełni wiary, że wywalczą wolność i zdecydowani do oddania ostatniej kropli krwi.

1 sierpnia 1944 roku o godzinie 17.00 wybuchło zbrojne powstanie przeciwko wojskom niemieckim okupującym Warszawę. Powstanie zaczynała od budowania barykad, całe powstanie biegła z meldunkami, bo przecież konieczna była łączność między dowództwem a miejscem akcji. W czasie walki nie czuła strachu, ani bólu. Była gotowa oddać życie za wolność Ojczyzny.

W trakcie powstania brakowało coraz bardziej broni, jedzenia i picia. Broń zdobywano podczas tzw. „wypadów” na małe oddziały niemieckie. Z tych wypadów nie wszyscy wracali. Żywność często dostarczali ludzie mieszkający w okolicy.

Mama wspominała, że najgorsze były ostatnie dni powstania, gdy czuło się już zwątpienie i żal, że jednak im się nie uda. Coraz więcej zabitych kolegów, Warszawa cała zbombardowana. Liczyli na pomoc, na sojuszników, ale oni nigdy nie nadeszli. Na koniec powstania Mama została odznaczona Krzyżem Walecznych. Nigdy nie była gotowa do wspomnień, wzruszenie było zbyt silne – trauma pozostała.

Choć gdy zadawałam pytanie: „Czy gdyby jeszcze raz przyszło Ci podjąć taką decyzję, co byś Mamo zrobiła?”. Odpowiedź zawsze była jednakowa: „Poszłabym jeszcze raz”.

Moja mam była wspaniałą, dumną i jak pamiętam wielką patriotką- kochała Polskę. Odeszła od nas w styczniu 2017 roku. Cześć jej pamięci.

Magdalena Brzeska – Biedrzycka

Fragmenty wywiadu z Panią Krystyną Brzeską uczestniczką Powstania Warszawskiego

Źródło: Gazeta Olsztyńska 2016 nr 193 dodatek „Węgorzewski Tydzień” nr 33 str. 7.
Artykuł autorstwa Magdaleny Mikiciuk, Moniki Kacprzak

„— Pamięć jest ulotna, niestety — zaczęła swoją opowieść Krystyna Brzeska. — Do udziału w powstaniu pchnęła mnie miłość do Ojczyzny. Byłam zawsze wierna Polsce, w szczególności w czasach okupacji, hitleryzmu, gnębienia Polaków. To jest taka rzecz naturalna, wtedy cała młodzież była patriotyczna. Miałam 14 lat, gdy wybuchła wojna, 18 – gdy wybuchło powstanie i cały czas byłam związana z ruchem oporu. Byliśmy młodzi, zapalczywi i mieliśmy swoje ideały (...)

— Gdy wybuchło powstanie, to zaczęliśmy od gaszenia dachów, które płonęły od bomb zapalających zrzucanych z samolotów — wspominała węgorzewianka. — To był wąż ludzki od piwnic do dachów. Jeden drugiemu podawał wodę. Później doszły budowy barykad na ulicy Lwowskiej koło Architektury. W pierwszym miesiącu powstania spałam może z pięć nocy. Czasami to była godzinka snu, czasem pół godziny. Ciągle byłam w ruchu, biegałam z meldunkami od jednej placówki do drugiej.

— Zostałam ranna na barykadzie przy ul. Polnej — mówiła łączniczka Armii Krajowej. — Podjechał czołg od Pola Mokotowskiego i ostrzelał naszą barykadę. To była godzina 4 lub 5 rano, miałam dyżur. Słyszałam krzyki rannych, więc pierwsze co zrobiłam, to pobiegłam po patrol sanitarny. Zaczęliśmy opatrywać wszystkich po kolei, a na końcu mówię: zobaczcie co z moją nogą, bo coś mi w bucie chlupie. Byłam w wysokich oficerkach i okazało się, że odłamek pocisku przeszedł przez but, łydkę przebił na wylot i wpadł do buta. Opatrzyli mnie na końcu i okazało się, że byłam jedną z najciężej rannych.

Dla powstańców najcięższy był drugi miesiąc walki, gdy zaczęło brakować żywności oraz amunicji. Rozpoczęła się walka o przetrwanie.

— To były aż 63 dni powstania — tłumaczyła Krystyna Brzeska. — Pierwszy miesiąc był wypełniony po brzegi. Mieliśmy jeszcze amunicję, więc ciągle toczyły się walki z Niemcami, którzy byli blisko nas. Można powiedzieć, że byliśmy z nimi w kontakcie bezpośrednim. Brakowało żywności, nikt nie był przygotowany, że powstanie będzie trwało tak długo. Gdy już naprawdę nie było co jeść, silniejsze osoby były oddelegowane, żeby wyprawiać się do browaru Habermuscha i Schielego po jęczmień. Trzeba było przejść przez Aleje Jerozolimskie, a tam wiadomo – ostrzał niemiecki. Bardzo dużo osób tam zginęło. W poprzek ulicy zrobiony był tunel, który troszeczkę chronił, ale jeżeli ktoś się wychylił, to od razu dostawał. Pod koniec powstania chłopcy znaleźli jakiegoś psa, zastrzelili go i ugotowali. Było nas wtedy około 50 osób, każdy dostał po niewielkim kęsie. Byliśmy młodzi, potrzebowaliśmy jedzenia – mówiła ze łzami w oczach (...)

Wyprawy po zaopatrzenie były ryzykowne i niebezpieczne. Jedną z takich nieudanych akcji była wyprawa do kawiarni Lardellego, gdzie Niemcy w piwnicach trzymali świnie. Plan zakładał zastrzelenie świni i przyniesienie jej na noszach do stanowiska powstańców.

— Okazało się, że to był niewypał — wspominała "Jola". — W tej akcji został ranny nasz dowódca, Tadeusz Gebethner. Chłopcy wynieśli go spod ostrzału, a że nie było żadnych sanitariuszy, to przekazali go mnie. Wzięłam go pod rękę i troszkę go niosłam, troszkę ciągnęłam, a nawet wlokłam do punktu sanitarnego. Udało mi się go uratować, bo oddałam go w ręce lekarzy. Jednak zanim to nastąpiło, posadziłam go na krześle, a żeby nie upadł mdlejąc, uklękłam za nim i tak go trzymałam. Trwało to bardzo długo, pamiętam, że cała zdrętwiałam, nim lekarze przyszli się nim zająć. Pod koniec powstania zostałam odznaczona Krzyżem Walecznych. Byłam tak wyczerpana, że po prostu

padłam, a gdy przyszła do mnie kobieta z dowództwa, to leżałam wycieńczona na łóżku. Powiedziała: "Jola zostałeś podana do odznaczenia" i wręczyła mi symboliczną bibułę, którą udało mi się wynieść z powstania.



Krystyna Brzeska z córką Magdaleną. Fot. Archiwum „Węgorzewskiego Tygodnia”

Po 63 dniach nierównej walki z okupantem, 3 października powstanie zakończono kapitulacją. Wielu powstańców trafiło do niewoli, jednak Krystynie Brzeskiej udało się opuścić Warszawę wraz z innymi łączniczkami i kobietami z korpusu sanitarnego.

— Dowództwo sugerowało, żeby patrole sanitarne i łączniczki starali się wyjść z ludnością cywilną, no i tak zrobiliśmy, chłopcy niestety poszli do niewoli — opowiadała dalej pani Krystyna. — Wraz z ludnością cywilną zapchali nas na Dworzec Zachodni, gdzie podjeżdżały pociągi i zabierały ludzi do obozu w Pruszkowie. Nasz patrol – 6 dziewczyn stał na peronie i czekał na kolejny transport, gdy podjechał niemiecki pociąg z polskimi kolejarzami. Akurat zatrzymali się przed nami, otworzyli drzwi i kazali nam wskakiwać. Po peronie ciągle chodził niemiecki żołnierz. Ja ostatnia wskakiwałam i czekałam aż dostane serię w plecy. Na szczęście się udało. Nie zauważył, że wskoczyliśmy, a może nie chciał zauważyć. Może był przyzwoitym człowiekiem?

Podczas rozmowy głos pani Krystyny łamał się wiele razy, wspomnienia wciąż były żywe i bolesne. "Jola" wiele razy podkreślała, że pamięć o ludziach, którzy stanęli do walki o naszą Ojczyznę, to nasz narodowy obowiązek (...)

Pani Krystyno, "Jolu" – pamiętamy!"